

Odczyt

sledczy



Artur

Rozen

sprawie

Domu

Swiergotka



this booklet was published by CentrumCentrum in 2022
as part of “Investigative Lecture on Tree pipit’s House” by Artur Rozen
ta broszura została wydana przez CentrumCentrum
w 2022 roku w ramach wydarzenia p.t. “Odczyt śledczy w sprawie Domu Świergotka”,
autorstwa Artura Rozena

designed and edited by Łukasz Jastrubczak
projekt graficzny i redakcja Łukasz Jastrubczak
translated with www.DeepL.com/Translator
przetłumaczono przy pomocy www.DeepL.com/Translator
supported by the Cultural Patronage of the city of Szczecin
dofinansowano w ramach “Mecenatu Kulturalnego Miasta Szczecin”



Mecenat Kulturalny
Miasta Szczecin

printed on demand
druk na prośbę



centrumcentrum.xyz

Investigative Lecture on Tree pipit's House

*Odczyt śledczy
w sprawie
Domu Świergotka*



Center of Szczecin. We walk along a street called „Turnerstrasse” before the war. Around us are 19th century tenement buildings. We are walking east. We pass the most official part of the city - Waly Chrobrego, formerly Hakenterasse, which borders directly on the western bank of the Oder River. We board the boat, cross the western Oder and continue through the channels along the extensive industrial belt of the Port of Szczecin. We pass ships from distant parts of the world, from Turkey, Cyprus, the Ivory Coast. Halfway along the route - at the point where the Oder spills over, in its eastern current, encircling small tracts of land, flowing into Lake Dabie - the scenery radically changes, as if in a dream. The heavily industrialized areas already behind us disappear. We sail along three uninhabited islands, where a dozen if not more than a few dozen different species of birds have their habitats: goosanders, tufted ducks, scaups, great cormorant, white-tailed eagles, grey herons, bluethroats, black and red kites, black and little terns, common cranes. We pass the islands of Ostrów Mielenski, Mielenska Meadow, and arrive at the destination of our trip - Sadlinskie Meadow Island. It used to be called Metna. In German times it was called Mönne. Unofficially, it is called Robien's Island. It is 2km long, 900 meters at its widest part. It was here that self-taught German ornithologist, pacifist and ecologist Paul Robien lived with his partner Eva Windhorn and their son from 1922 to 1945, surrounded by numerous birds. We moor to the shore. We walk among tall reeds and grasses, avoiding the muddy parts of the island, which is shaped on the left by the current of the Regalica (East Oder) and on the right by Lake Dabie. We reach a place not far from the shore, by the Dabskie Current, where we find concrete fragments of the foundation of a house - a research station. We imagine its shape, imagine the garden adjacent to the house, which fed Robien's family. We listen to the sounds of birds as they pass down the story of this extraordinary human collective from generation to generation.



Centrum Szczecina. Idziemy ulicą, która przed wojną nosiła nazwę Turnerstrasse. Dookoła nas XIX wieczna, kamieniczna zabudowa. Idziemy w kierunku wschodnim. Mijamy najbardziej reprezentatywną część miasta Wały Chrobrego, dawniej Hakenterasse, które graniczą bezpośrednio z zachodnim brzegiem Odry. Wsiadamy do łodzi, przepływamy Odrę zachodnią i płyniemy dalej kanałami przez obszerny pas przemysłowy Portu Szczecin. Mijamy statki z odległych rejonów świata, z Turcji, Cypru, Wybrzeża Kości Słoniowej. W połowie trasy - w miejscu gdzie Odra rozlewa się, w swoim wschodnim nurcie, otaczając niewielkie połacie ziemi, wpływając do jeziora Dąbie - scenografia radykalnie się zmienia, jak we śnie. Silnie zindustrializowane tereny znajdujące się już za naszymi plecami znikają. Płyniemy wzdłuż trzech bezludnych wysp, na których siedliska ma kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt różnych gatunków ptaków : nurogęsi , czernic , ogorzałek , kormoranów , orłów bielików , czapli siwych , podróżniczek , kani czarnych i rudych , rybitw czarnych i białoczelnych , żurawi. Mijamy wyspy Ostrów Mieleński, Mieleńską Łąkę, i docieramy do celu naszej wyprawy – do wyspy Sadlińskie Łąki. Niegdyś nazywana Męt-na. W czasach niemieckich Mönne. Nieoficjalnie nazywana jest Wyspą Robiena. Długa na 2km, w najszerszej części ma 900 metrów. To tutaj w latach 1922–1945, w otoczeniu liczного ptactwa, mieszkał razem z partnerką Evą Windhorn i ich synem, niemiecki ornitolog samouk, pacyfista i ekolog Paul Robien.

Cumujemy do brzegu. Idziemy wśród wysokich trzcin i traw, omijając błotniste fragmenty wyspy, którą z lewej strony kształtuje nurt Regalicy (Odry wschodniej) a z prawej otacza Jezioro Dąbie. Docieramy do miejsca nieopodal brzegu, nad Dąbskim Nurtem, gdzie znajdujemy betonowe fragmenty podmurówki domu - stacji badawczej. Wyobrażamy sobie jej kształt, wyobrażamy sobie przylegający do domu ogród, który żywił rodzinę Robiena. Wsluchujemy się w dźwięki ptaków, które przekazują sobie z pokolenia na pokolenie historię tego niezwykłego ludzkiego kolektywu.

Odczyt śledczy w sprawie Domu Świergotka

To śledztwo zaczyna się na Ziemi, którą wszyscy dobrze znamy z billboardów i darmowych gazet w marketach. Pod jej powierzchnią urodził się ptak, o temperaturze ciała 36,6 lub więcej. Niewiadomo dokładnie skąd wytoczyło się to jajo, ale to co zostało do tej pory ustalone to to, że ten ptak miał latać dużo wyżej od innych i jak na ptaka łązić dużo dalej, mimo słabej jakości obuwia.

Jak ustalono na podstawie zeznań i wyobraźni, ptaszek ten nazywał się Paweł R. i to właśnie jego postać, będzie stanowić oś tego śledztwa, w celu ustalenia dlaczego podejrzany był jaki był.

Dopisek.

Na pewno nie papuga.

Jak podają źródła wychował się pod protekcją Wujka CH., który widywany był, gdy pozbawiał młodego godności i piór, budując mu na głowie konstrukcję zlepioną z dogmatów i surowej dyscypliny. Naoczni świadkowie twierdzili, że Paweł R. spędził młodość na katorżniczym wolontariacie, zebrząc o nasiona, wśród przypadkowych przechodniów. Wtedy jeszcze nie karmiono się pieczywem z głęboko mrożonego ciasta, więc jego kostki mineralizowały się na pełnowartościowym błonniku idei i szacunku do innych.

Paweł R. otrzymał edukację wyłącznie na poziomie podłogi. Cała reszta została oddana ślepemu losowi, ale spryt i ciekawość z jaką konsumował świat, stały się drogą samokształcenia, która w kauczukowej koincydencji, miała go doprowadzić do najszczęśliwszego życia, jakie tylko można byłoby sobie pomyśleć.

Kiedy podrośł i nauczył się chodzić po kominach, czujnie sondował mglistość podmiejskiego krajobrazu. Parujące jeziora i głowy, zupy instant i gazy LPG, wzmacniały w nim przekonanie, że ulotnić się stąd to za mało. Był podejrzewany o zamiar przebicia szarej kopuły, która wisiała nad miastem i chęci spuszczenia z niej mętnego powietrza wydychanego z płuc hegemonów. On jednak rozciągał czas w głowie powoli, nawijając go na perspektywiczny wydelec.

Jak ustalono, zatacza szerokie koło wokół samego siebie, aby pochwycić wiedzę i bodźce krążące wokół. Przyszło mu żyć w czasach, które były takie jak zwy-

kle, dlatego zaciągnął się na statek gdzie profesjonalizował się we wszystkim i w niczym. Współpracownicy twierdzili, że odganiał mewy z masztów, łapał kury na pokładzie i witał się z latającymi rybami. Najwięcej czasu spędzał pod pokładem, gdzie wkładał ponadprzeciętną siłę w napędzanie tej chybotliwej wanny. Kiedy dorzucał koks do pieca, wyobrażał sobie, że pali wszystkie rozterki w ilościach dużych, a nawet bardzo dużych, a przynajmniej takich, które pozwolą odzyskać równowagę ciepła w okół.

Zawsze kiedy wybijała dwunasta, którą sygnalizował zegar z kukułką, wiedział, że to czas dla niego, że to czas terazniejszy-przyszły. Odpoczywając, na materacu utkanym z sitowia i głupich wspomnień, liczył w głowie czas odmierzany dźwiękiem kukania: Raz, trzy – dwa, cztery. Podobno drażniła go ta kukulka, bo jak powszechnie wiadomo, jej egzystencja w przyrodzie; to prawdziwe kurestwo.

Leżąc tak w swojej głowie zastanawiał się ile zajmie mu ta podróż i jak to w ogóle będzie z tym wszystkim ? Jak to tam coś będzie. W chwilach zwątpienia rzucał nożykiem, w kierunku starych beczek, na których wisiał plakat z napisem *I Want To Believe*, celując w ostatnie słowo tego zdania. Naoczny świadek zeznał, że Paweł R. na jednym z drewnianych słupów, obok swojego legowiska, wyrył napis: fiu fiu, za co mocno mu się oberwało od innych marynarzy. Twierdzili, że sobie tego nie życzą, że to im utrudnia normalne funkcjonowanie.

Żeglując tak wzwyż i wszecz miewał wiele odpałów, przyglądając się przyrodzie, w szczególności gdy obserwował inne ptaki, inne niż on i inne niż oni. Zakochał się w każdym nowo napotkanym gatunku, poświęcając im kolejne strony w swoim zeszyte. Umieszczał ich małe rysunki (ponoć niekiedy w dwuznacznych pozach) wysyłając przy tym wiele pocałunków, w kierunkach zrozumiałych tylko przez satelity.

Jak ustalono na podstawie zeznań innych marynarzy, po latach rejsów, zebrali okazali bibliotekę wraz z tajemniczym workiem, do którego jak twierdzą świadkowie szeptał wieczorami, wręcz rozmawiał z jego wnętrzem lub czymś co znajdowało się w środku. Do worka zaglądano wiele razy pod jego nieobecność i był zawsze pusty, mimo że przewracano go raz na jedną, raz na drugą stronę. Podejrzewano, że są to jakieś kpiny ze wszystkich wokół, że traktuje ludzi jak wariatów, a to przecież on miał być wariatem!

- *Kompletne wariactwo, zeznał jeden z wariatów.*

Po zaznajomieniu się z dokumentacją ustalono, że po latach spędzonych na turystyce-zarobkowej Paweł R. miał powrócić do miasta, z którego się wykuł. Niedługo po przyjeździe został przywitany uściskiem lepkiej łapy, która wręczyła mu pismo urzędowe o treści: ojczyzna w potrzebie, budżet w potrzebie, paranoja w potrzebie i bierzemy ciebie, a ty musisz wyjść z siebie. W taki sposób stał się częścią szeregu, który składał się na rzędy, a te na kolumny i kwartały. Nie był to zwyczajny-niezwykły pobyt w armii. Został od razu wysłany daleko w dół mapy, żeby posłużyć jako młotek do wbijania ostrych porządków. Kazano mu walić do wszystkiego co się rusza i odpoczywa. Do wydm, suchych krzaków, daktyli, much i drewnianych naczyń. Przeczyło to wszystkiemu czego próbował się nauczyć - wszystkiemu czego próbował się oduczyć. To było jak cegła na łeb, nóż w plecach i olej palmowy w jelitach.

Z archiwum Wojskowego Biura Dyscyplinizacji i Betonizacji zostają ujawnione dokumenty świadczące o tym, że Paweł R. po kilku dniach pobytu w armii odmawia walki, powołując się na nieistniejące prawo do wolności od przemocy. Zostaje za to wtrącony do więzienia, gdzie spędza kap-kap, kapiących powoli dni. Zastanawia się co to wszystko ma w ogóle znaczyć? A jeżeli tak, to czy te powody pojawią się pod jego skórą w formie zgrubień?

Jeden z przesłuchanych współwięźniów wspomina:

Wie Pan tak se go słuchałem, bo nie dało się tego nie słyszeć, nie? A on tak gmerał coś pod nosem: fiu fiu, fiu fiu. Variat, kompletny nonsens tak sobie gadać proszę pana. Nie podobało mi się tego słuchać.

Anonimowy informator twierdzi, że Paweł R. po opuszczeniu zakładu karnego, myśli miał wyburzone i popękane. Mimo ogromnego zawodu jak najgłębsza depresja na łądzie, chce kontynuować terenowe badania. Ponownie wraca do miejskiej dżungli, na życiowe safari. Zaprzyjaźnia się z lokalnymi molami książkowymi i gryzpiórkami, którzy nucą tą samą melodię co on. Dziobie zapiłki i skrobie artykuły w lokalnej prasie rozpowszechniając wiedzę, którą wyssał z przybrzeżnego powietrza. Wokół jego osoby pączkuje środowisko wariackich symbiontów i rewolucyjnych organizmów. Zawiązują nieformalną sieć społecznościową, która od teraz będzie nazywać się Klubem Świergotka. Biegają po mieście rozrzucając pod niebo kartki z artykułami swojego mentora, wci-

skają ludziom kwiaty i bzdety, gwizdzą po uszach, napychają kieszenie marynarek błotem i nasionami. Lobbuja za dzikością przyrody i robią zielony pijar na wszystko wokół.

Wskazówki zegara powoli ale konsekwentnie prą swoim bokiem na przód. Pojawia się pomysł budowy stacji badawczej do obserwacji avi wraz z fauną, której nikt jeszcze nie odważył się przyjrzeć z bliska. Stacja miałaby powstać na wyspie, której czubek usycha z tęsknoty na tafli jeziora pod miastem. Za dnia i w nocy głowa wyspy jest miejscem pierwszorzędnego jajcowania przez niewyobrażalną ilość dzikich ptaków. Ktoś musi się tym w końcu zająć!

Międzyczasie poznaje ptaszkę – Ewę W., która zaczyna dokarmiać potarganego życiem, śmiechem i ciastkami typu delicja, małym palcem starając się rozbijać jego wrażliwe serce. Paweł R. i Ewa W. wraz z resztą świergotków przeprowadzają się na statek, przycumowanym do najmniejszego brzegu wyspy. Na rufie łopocze zielona flaga, z dużą literą N w jej wnętrzu. Pod tą banderą będą ochraniać się postawy rewolucjonistów natury. Nie wszyscy są jednak przyzwyczajeni do surowych warunków mieszkaniowych na łajbie. Pokrzepiają się porannymi ćwiczeniami w pokrzywach, okładają się puddingiem z tłuczonych wodorostów i uprawiają gromadny petting pod lampą księżycą.

Budowa zajmie zapaleńcom masę linearnie poplątanego czasu. Skaczą, kotlują się i zaliczają gleby w poszukiwaniu miejsca pod kamień węgielny. Centymetr w lewo i dwa metry w prawo, wszystko ma swoje odbicie w dobrowolności pracy. Ta robota to jednak ciężki kawałek pełnoziarnistego chleba na zakwasie – nie każdy to lubi. Zanim stacja zacznie piąć się w górę, wokół trzeba wykopać rowki, powbijając patyki, trzeba postawić kopce kreta, żeby ich kompletnie nie oblało. Dzięki wsparciu zaprzyjaźnionych świergotków miasto odkorkowuje swoją świnie-skarbonkę co, przyspiesza ukończenie budowy.

Naoczny świadek doniósł, że gdy stacja rozkwitła Paweł R. wysypał z worka wiedzę i historie gromadzone przez lata podróży po całym domu. Na regałach zostaje jeszcze wiele białych plam. Będą zapełniane zapiskami przez kolejne lata prowadzenia badań: jak zjeść rybkę na jedno chapięcie, a żabę wziąć na wynos i skonsumować w zaciszu wymoszczonego szkieletami poległych gniazda. Znajdą się również zapisy, o różnych dziwolągach podgryzających wszystko wokół i roślinach, których jeszcze nie prezentowano w telewizji kablowej. Mieszanina wiedzy i wrażliwości prowadzi do przedstawienia

władzom miasta planu utworzenia chronionej krainy pod miastem. Można by ją nazwać np. rezerwuarem, rezerwacją, może rezerwatem. W tamtych czasach nikt nie wie o czym on w ogóle gada. Nikt nie wie co to za rezerwacje i czemu to miałyby służyć skoro wszystko to dobro wspólne i troska jest dzielona po równo (przynajmniej w powszechnie przyjętej opinii). Mimo zaangażowania ptasiego radia jakie nadaje na całe miasto, przevorsowanie takiej bajeczki wydaje się dla władz miasta nadrealistycznym postanowieniem.

Nad głową zaczyna się robić duszno. W powietrzu latają ostre alarmy, stalowe kulki nie dają w spokoju usnąć, jak komary nad uchem. Na wodzie lądują warczące motory, to nie kult Cargo, to dzieje się naprawdę! Paweł R. wystosowuje pismo do władz miasta. Wyraża zatroskanie, wnosi sprzeciw i ogłasza protest wobec stosowanego kłusownictwa na spokoju przyrody. Żadne cepeliny i karta-cze, nie będą nam kapać rozgrzanym olejem na głowy! Jest bezkompromisowym opiekunem wspólnoty stworzeń i kontestatorem politycznego wampiryzmu stosowanego. Sprzeciwia się romantyzacji armijnego braterstwo-siostrzeństwa i puka się dłonią w głowę, którą naśladuje dzieciola trójpalczastego. Jednak jego prośby i groźby pod adresem administracji i aparatu bezpieczeństwa zastygają w bezruchu jak jajka na teflonie.

Stacja kręci się dalej i nie daje sobą zachwiać na przekór utarczkom i tarciom jednych o drugich, gdzieś tam w oddali. Mimo to, Ohyda Security przywozi im kilku wychudzonych jak trawa osobników. Mają przymusowo pracować na rzecz stacji, a Paweł R. i Ewa W. będą sprawować nad nimi kontrolę. Świergotki przecierają nonsens występujący im na czołach, ale przyjmują przymusowców bo właściwie nie mają innego wyboru. Wokół jest mnóstwo do zrobienia ale nie wymagają od nikogo pracy ponad siły. Równi, równiejsi i pokrzywieni – ta zasada nie odzwierciedla zwyczajów wyspiarskiej wspólnoty. Ich życiowe credo ? Badania, badania, leżakowanie i czasami przekąsić coś dobrego.

Czas zaczyna znowu biec szybciej jakby ktoś wynajął firmę zewnętrzną do popychania wskazówek zegara. Inwazyjne gatunki wypierają innych trujących i toksycznych mieszkańców. Decydują się na kwitnienie tam gdzie będzie im najwygodniej. Wydaje się że na miasto i wszystko wokół zostaje narzucona siatka maskująca. Centymetry kwadratowe są dzielone na plamy, okręgi i trójkąty. Jak się okazuje wyspa zostaje włączona do lokalnego trójkąta bermudzkiego, ale o jej mieszkańcach nikt nie ma zieloniutkiego pojęcia. Paweł R. i Ewa W. również nie są świadomi, że zostali objęci barierą zmyślonych granic.

Przez pewien czas żyją jak zwykle, łążą jak zwykle i śmieją się jak zazwyczaj, aż

do momentu kiedy nic już nie jest takie jak było. Nad głowami ptaków, zaczynają pulsować znaki zapytania.

Gdzie nasz ciekawski ? Gdzie nasz podglądacz ? Trop się urywa.

Wyspa zostaje szczegółowo obejrzana pod mikroskopem. Stwierdzono, że stacja jest mocno osmalona i wszystko w niej kipi jak we wnętrzu kilkudniowej popielniczki. Góra jest na dole, a dół wyżej, niż zwykle. Grzbiety, obwoluty i strony przemieszczają się szybko po okolicy jak drobne ustroje. Wszędzie tam pełno myśli i słów Pawła R., Ewy W. oraz zapaleńców zaangażowanych w działanie stacji. Gdzie nie dotknąć palcem lub nacisnąć patyczkiem, tam tryskają niedoszłe zdarzenia i wariackie historie, którymi nabuzowana jest ta ziemia. Badania muszą zostać przerwane, ponieważ soczewka mikroskopu nad wyspą prowadzi do miejscowych podpażeń przez coraz to bardziej ciekawskie słońce.

Nie zostało dokładnie ustalone jak, kto i co ale jedno było pewne, ta para ptaków zniknęła, jak urywany dźwięk pstryknięcia palców. To co zostało ujawnione po latach to to, że tego dnia inne ptaki przymknęły dzioby, a żaby dały pauzę w rechocie. Sitowie wystrzeliło w kierunku nieba, a drzewa przeniosły się do pojemników na kołach. Grzyby porzuciły prastarą zasadę jędrności, a komary oddały się na pożarcie większym od siebie.

Podsumowanie śledztwa: Brak

Dopisek:

Pozostałości myśli i słów, jak zwykle zostały wywiezione na europaletach do magazynów. Leżakują tam sobie gdzieś, chichoczą i całują się pod pokrywami kartonów. Co jakiś czas prezentuje się je za pancerną szybą, żeby móc je polizać odrobinę i wymyślić sobie jak by to mogło być inaczej, a jeżeli w ogóle, to czy inaczej miałoby jakikolwiek sens.

Artur Rozen

Investigative Lecture on Tree pipit's House

This investigation begins on Earth, which we all know well from billboards and free newspapers in supermarkets. Beneath its surface, a bird was born, with a body temperature of 36.6 celsius or higher. Exactly where this egg rolled out from is unknown, but what has been established so far is that this bird was said to fly much higher than others and, for a bird, wander much farther, despite the poor quality of its footwear. As established by testimony and imagination, this bird's name was Paul R., and it is his character, that will be the axis of this investigation, in order to determine why the suspect was what he was.

Addendum.

„Certainly not a parrot.”

According to sources, he grew up under the protection of Uncle CH., who was seen stripping the youngster of his dignity and feathers, building on his head a structure conglomerated of dogma and strict discipline. Eyewitnesses claimed that Paul R. spent his youth as a cathartic volunteer, begging for seeds, among random passersby. Back then, they had not yet been fed bread made from deep-frozen dough, so his picks mineralized on the wholesome fiber of ideas and respect for others. Paul R. received education only at floor level. Everything else was given over to blind fate, but the cleverness and curiosity with which he consumed the world became a path of self-education that, in rubbery coincidence, was to lead him to the most sincere life one could think of. As he grew older and learned to walk up chimneys, he vigi-

lantly probed the misty suburban landscape. Steaming lakes and heads, instant soups and **LPG** gases, reinforced in him the conviction that getting away from here was not enough. He was suspected of intending to pierce the gray dome that hung over the city and wanting to let off the murky air exhaled from the lungs of the hegemons. He, however, stretched time in his head slowly, winding it up with a perspective fork.

As established, he staggered in a wide circle around himself to grasp the knowledge and stimuli circulating around him. He came to live in times that were business as usual, so he enlisted on a ship where he professionalized himself in everything and nothing. Co-workers claimed he chased seagulls off masts, caught chickens on deck and greeted flying fish. He spent most of his time below deck, where he put more than enough strength into propelling that wobbly tub. As he added coke to the furnace, he imagined that he was burning all the dilettantes in quantities large, or even very large, or at least enough to recover the balance of the heat around them. Whenever twelve o'clock struck, which was signaled by the cuckoo clock, he knew that it was time for him, that it was present-future time. Resting, on a mattress woven of rushes and silly memories, he counted in his head the time measured by the sound of the cuckoo: One, three - two, four. Apparently, he was annoyed by this cuckoo, because, as is well known, its existence in nature; it is a real whoredom.

Lying like this in his head, he wondered how long the trip would take and how it would even be ? How will there be anything there. In moments of doubt, he threw a knife, toward the old barrels on which hung a poster with the words *I Want To Believe*, aiming for the last word of that sentence. An eyewitness testified that Paul R. carved the inscription: *fin fin* on one of the wooden poles next to his lair, for which he was severely berated by other sailors. They claimed that they did not wish it, that it hindered their normal functioning. Sailing up and down like this, he had many indulgences, looking at nature, especially when he observed other birds, different from him and different from them. He fell in love with each new species he encountered, dedicating page after page in his notebook to them. He would place small drawings of them (reportedly sometimes in ambiguous poses) while sending many kisses, in directions understood only by satellites. As established by the testimony of other sailors, after years of cruising, he collected a magnificent library along with a mysterious bag, into which, according to witnesses, he would whisper in the evenings, even talk to its interior or something that was inside. The sack had been looked into many times in his absence and was always empty, even though it had been turned over once to one side and then to the other. It was suspected that there was some kind of mockery of everyone around, that he was treating people like crazy, and yet he was supposed to be the crazy one!

- *Complete craziness, testified one of the crazies.*

After familiarizing himself with the documentation, it was determined that after years spent as a tourist-turned-foreigner, Paul R. was about to return to the city from which he had hatched. Shortly after his arrival, he was greeted with a hug from a sticky paw, which handed him an official letter that read: homeland in need, budget in need, paranoia in need, and we take you, and you must leave yourself. That's how he became part of the row that made up the rows, and those rows made up the columns and quarters. It was not an ordinary-unusual stay in the army. He was immediately sent far down the map to serve as a hammer to pound sharp orders. He was ordered to pound into anything that moves and rests. To sand dunes, dry bushes, date palms, flies and wooden vessels. It defied everything he tried to learn - everything he tried to unlearn. It was like a brick to the head, a knife in the back and palm oil in the gut. From the archives of the Military Discipline and Concrete Bureau, documents are revealed showing that Paul R. refuses to fight after a few days in the army, citing the non-existent right to freedom from violence. For this he is thrown into prison, where he spends kap-kap-kap - dripping slowly days. He wonders what all this is supposed to mean at all ? what is it all for and to whom ? why is the horizon divided by a bar ? One of the inmates interviewed recalls: *You know so I listened to him, because it was impossible not to hear it, no? And he was murmuring something under his breath like this: fuu fuu, fuu fuu. Crazy, complete nonsense to talk to yourself like that sir. I did not like to listen to it.*

An anonymous informant claims that Paul R. after leaving prison, his thoughts were shattered and cracked. Despite a huge disappointment like the deepest depression on land, he wants to continue field research. Once again, he returns to the urban jungle, to make a life safari. He befriends local bookworms and grizzlies who hum the same tune as he does. He pecks notes and scrapes articles in the local press spreading the knowledge he has sussed out from the coastal air. A community of nutty symbiotes and revolutionary organisms is budding around him. They form an informal social network, which from now on will be called the Tree pipit's Club. They run around the city scattering sheets of their mentor's articles to the skies, pushing flowers and nonsense on people, whistling in their ears, stuffing their jacket pockets with mud and seeds. They lobby for wilderness and make a green leech on everything around them.

The hands of the clock are slowly but steadily advancing their flank forward. The idea of building a research station to observe avi along with fauna that no one has yet dared to look at up close. The station would be built on an island whose tip withers longingly on the surface of a lake below the city. During the day and at night, the head of the island is the site of prime egging by unimaginable numbers of wild birds. Someone has to take care of it eventually! In the meantime, he meets a bird - Eve W., who begins to feed the bumbling life, laughter and delicacy-type ca-

kes, with a little finger trying to rock his sensitive heart. Paul R. and Eve W., along with the rest of the crickets, move to the ship, moored to the softest shore of the island. A green flag flutters at the stern, with a large letter N inside it. Under this flag will protect the attitudes of nature's revolutionaries. However, not everyone is accustomed to the harsh living conditions on the roundup. They nourish themselves with morning exercises in nettles, ply themselves with pudding made of mashed seaweed and engage in cluster petting under the moonlight.

Construction will take enthusiasts a mass of linearly tangled time. They leap, scramble and score the soils in search of a place for the cornerstone. One centimeter to the left and two meters to the right, everything is reflected in the voluntariness of the work. This job, however, is a heavy piece of whole-grain sourdough bread - not everyone likes it. Before the station starts to climb, grooves have to be dug all around, sticks have to be knocked down, mole mounds have to be put up so that they don't get completely doused. With the support of friendly crickets, the city uncorks its piggy bank which, speeds up the completion of the construction.

An eyewitness reported that when the station blossomed Paul R. spilled out of the bag the knowledge and stories he had accumulated over years of traveling around the house. There is still plenty of empty space left on the shelves. They will be filled with notes over the years of research: how to eat a fish in one

gulp, and how to take a frog out and consume it in the comfort of a nest swept with the skeletons of the fallen. There will also be entries, about various freaks gnawing at everything in the vicinity and plants that have not yet been presented on cable television. The mixture of knowledge and sensitivity leads to a plan being presented to city authorities to create a protected area under the city. It could be called for example a reservoir, reservation, maybe reserve. At the time, no one knows what he's even talking about. No one knows what a reservation is, or what purpose it would serve since it's all a common good and care is shared equally (at least in the commonly accepted view). Despite the involvement of a bird radio station that broadcasts to the entire city, pushing through such a fairy tale seems like an overrealistic resolution for the city government.

Above the head it begins to get stuffy. Fierce alarms fly in the air, steel balls do not let you sleep in peace, like mosquitoes over the ear. There are growling motorcycles landing on the water, this is not a „Cargo cult“, this is really happening! Paul R. writes a letter to the city authorities. He expresses concern, raises objections and announces his protest against the applied poaching on the tranquility of nature. No cepelins and potato chips, they will not drip hot oil on our heads! He is an uncompromising guardian of the community of creatures and a contestor of political applied vampirism. He opposes the romanticization of army brotherhood-sisterhood and knocks himself on the head with his hand, which he mimics a three-toed wood-

pecker. However, his requests and threats to the administration and the security apparatus freeze in place like eggs on Teflon.

The station spins on and does not allow itself to be shaken in spite of the melee and friction of one over the other, somewhere in the distance. Nonetheless, Ohyda Security brings them some emaciated as grass individuals. They are to forcibly work for the station, and Paul R. and Eve W. will exercise control over them. The crickets wipe the nonsense appearing on their foreheads, but they accept the forced laborers because they actually have no other choice. There is plenty to do around, but they don't require anyone to work beyond their strength - they work shoulder to shoulder. Equal, more equal and crooked - this principle does not reflect the customs of the island community. Their life credo ? Research, research, research and occasionally snack on something good. Time begins to run faster again as if someone hired an outside company to push the hands of the clock. Invasive species displace other poisonous and toxic inhabitants. They decide to flourish where they will be most comfortable. It seems that a camouflage net is being cast over the city and everything in the vicinity. Square centimeters are divided into patches, circles and triangles. As it turns out, the island is included in the local Bermuda triangle, but no one has an idea about its inhabitants. Paul R. and Eve W. are also unaware that they have been included in a barrier of made-up borders.

For a while they live as usual, roam as usual and laugh as usual, until nothing is as it was anymore. Over the heads of the birds, question marks begin to pulsate. Where is our Curious ? Where is our peeper ? The trail breaks off. The island was examined in detail under a microscope. It was found that the station is heavily smeared and everything inside it is boiling like the inside of an ashtray of several days. The top is down and the bottom is higher than usual. The ridges, wrappers and pages move quickly around like tiny contraptions. Everywhere there are the thoughts and words of Paul R., Eve W. and the enthusiasts involved in the operation of the station. Wherever one does not touch a finger or press a stick, there gushes the would-be events and crazy stories with which this land is swollen. The research has to stop because the lens of the microscope over the island leads to local arson by an increasingly curious sun.

It was not established exactly how, who or what but one thing was certain, this pair of birds disappeared, like the snapping sound of fingers. What was revealed years later was that on that day the other birds closed their beaks and the frogs gave pause in their retching. The rushes darted skyward, and the trees moved into containers on wheels. Mushrooms abandoned the ancient principle of firmness, and mosquitoes gave themselves up to be devoured by those larger than themselves.

Investigation Summary: None

Addendum:

The remnants of thoughts and words, as usual, have been carted away on wooden pallets to warehouses. They lie there somewhere, giggling and kissing each other under the lids of cardboard boxes. Every now and then they are presented behind an armored glass, so that one can lick them a little and think of how things might have been different, and if at all, whether it would have made any sense otherwise.

by Arthur Rozen

Artur Rozen - artysta wizualny. Laureat stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2015). Jego prace prezentowano na wystawach zbiorowych m.in. w Miejscu Projektów Zachęty w Warszawie, Muzeum Współczesnym we Wrocławiu, Galerii Miejskiej w Gorzowie Wielkopolskim, Zonie Sztuki Aktualnej oraz CentrumCentrum w Szczecinie, a także na wystawach indywidualnych, m.in. w Project Room Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie i Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. W 2018 roku przebywał na rezydencji w Schafhof – European House of Art w Niemczech, a w 2022 w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu. Mieszka i pracuje wszędzie.

Artur Rozen - visual artist. Winner of a scholarship from the Minister of Culture and National Heritage (2015). His works have been presented in group exhibitions, among others, at the Zacheta Project Place in Warsaw, the Contemporary Museum in Wrocław, the City Gallery in Gorzow Wielkopolski, the Zona Sztuki Aktualnej and the CentrumCentrum in Szczecin, as well as in solo exhibitions, including the Project Room of the Center for Contemporary Art Ujazdowski Castle in Warsaw and the Center for Polish Sculpture in Oronsco. In 2018 he was in residence at Schafhof - European House of Art in Germany, and in 2022 at the Zamek Cultural Center in Poznan. He lives and works everywhere.



